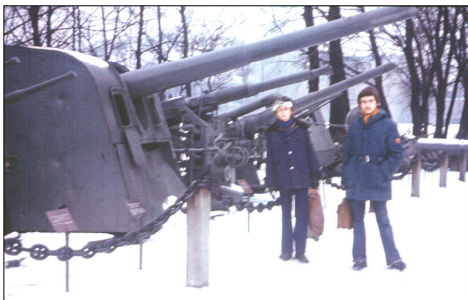


50 LAT ŻYCIA

**Rysunki detali i wnętrz TWF * Strajki radomskie * Praga - Budapeszt *
Moda na wczasy * Łącko - Szczawnica * 50 lat życia**

W końcu stycznia 1976 r., w okresie szkolnych ferii, wykorzystując służbową delegację i piękną pogodę, pojechałem na trzy dni do Warszawy, zabierając ze sobą obu synów. Chciałem pokazać im i samemu spokojnie przyjrzeć się licznym nowym inwestycjom, zrealizowanym w stolicy w ostatnim okresie czasu. Zakwaterowaliśmy w hotelu "Polonia" w samym centrum miasta. W Telewizji Polskiej na ul. Jana Pawła Woronicza załatwiłem swe sprawy projektanckie w kilka godzin, więc dwa pełne dni mogliśmy w trójkę pobłądzić trochę po stołecznym mieście.



W Muzeum Wojska Polskiego

na kawie, a także na tarasie widokowym na XX. piętrze. W Muzeum Wojska Polskiego zabawiliśmy kilka godzin, bo bogate kolekcje wszelkiej broni, zwłaszcza ciężkiej, jak samoloty i czołgi, bardzo interesowały moich prawie "poborowych" chłopców.

Chciałem też w tym zimowym okresie zrelaksować się, po forsownej pracy, na świeżym powietrzu i pojechaliśmy wkrótce z Grzesiem na 10-dniowy pobyt w schronisku "Spalona" w Górach Bystrzyckich. Nie wiem dlaczego zdecydowałem się na to, zupełnie mi nieznane, schronisko i teren, prawdopodobnie nie było w "Juventurze", gdzie się zgłosiłem, żadnej innej oferty. Schronisko znajduje się kilkanaście kilometrów na zachód od Bystrzycy Kłodzkiej, skąd autobus dowiózł nas późnym popołudniem na odległość około jednego kilometra od schroniska, tam wysiedliśmy dosłownie w lesie. Były zasypane śnieżne, oraz bardzo mroźno, i z niemałym trudem dobrnęliśmy do celu, kierując się światłami w oknach, gdyż zrobiło się zupełnie ciemno.

W starym, drewnianym budynku, o wdzięcznej nazwie "Jagodna", pełno było młodzieży, raczej starszej od Grzesia. Nic mi się nie podobało: warunki spartańskie, byle jakie wyżywienie, zimny pokój, jeszcze zimniej w jadalni-świetlicy, przerobionej z wernandy. Wypożyczyliśmy sanki i Grzegorz zjeżdżał na nich na pobliskiej górze, na której inni jeździli raczej na nartach. Mróz trzymał ostro, nie było szans na jakieś wycieczki, czy spacer, więc wytrzymaaliśmy w tych warunkach tylko trzy dni i zabraliśmy się z powrotem do Krakowa.

Na Wielkanoc 1976 r. znów gościliśmy "Wrocławiaków", jak mawialiśmy na rodzinę mej siostry Haliny. Przyjechali jednakże bez Grażyny i bez Ewy. Grażyna święta spędzała w gronie rodzinnym swego męża, Krzysztofa, we Wrocławiu. Natomiast Ewa nie była już żoną Janusza, rozwiedli się po niespełna dwu latach swego małżeństwa. Obchody juwenaliów żakowskich i Dni Krakowa w 1976 r. były podobnie jak w poprzed-

nich 2-3 latach również bardzo huczne. Studenckie korowody przebierańców, girlandy lampionów i kolorowe transparenty na ulicach Starówki, galeria wielkich kukieł historycznych postaci w Rynku, kiermasze, spektakle, wystawy, wreszcie imponujące widowisko "Światło i dźwięk" u stóp Wawelu, kończące ponad miesięczny festiwal imprez i uroczystości w podwawelskim grodzie. Braliśmy w tym wszystkim udział, zwykle z inspiracji naszych chłopców, oczywiście jako widzowie, często wśród tłumów Krakowian, a także turystów, których z roku na rok w Krakowie wyraźnie przybywało. Zwłaszcza bardzo znacznie zwiększyła się ilość turystów z Czechosłowacji i Niemieckiej Republiki Demokratycznej oraz Polonii Amerykańskiej.



Na Juwenaliach w Krakowie

Od listopada 1975 r. biuro przekazywało już inwestorowi gotowe projekty techniczne poszczególnych segmentów Wytwórni Telewizyjnej. Moja praca od tego czasu polegała na wykańczaniu projektów technicznych architektury, a najwięcej roboty przysparzały mi rysunki detali i wnętrza architektonicznych. Były one opracowane w odrębne tomy, które też dostarczaliśmy inwestorowi sukcesywnie. Tomów tych było sześć, a na każdy składało się średnio po 25 arkuszy rysunków. Niektóre z nich były proste i nieskomplikowane, jak zestawienia stolarki drzwiowej i okiennej, szaf różnego rodzaju, ślusarki oraz niektóre szczegóły budowlane, jak okna, parapety, balustrady. Te rysunki opracowywali głównie asystenci w moim zespole. Wiele jednakże było indywidualnych autorskich rozwiązań, nowatorskich i skomplikowanych, te w większości rysowywałem sam.

Sporo pomieszczeń wymagało opracowania projektów wnętrza, jak np. kawiarnia, stołówka-restauracja, holl główny - wykonywał je nasz pracowniany projektant wnętrz K. Morawiec. Niektóre wnętrza rysowałem sam, a dotyczyły one np. telewizyjnych reżyserni światła i fonii, pracowni krawieckich, charakteryzatorni, fryzjerni, sal przeglądowych i nagrań dźwiękowych itd.

Najwięcej czasu zajęły mi jednak szczegóły budowlane i wnętrza hali zdjęciowej. Składały się na nie: ślusarka dwóch stalowych pięter ażurowych galerii wraz ze schodami, obudowa wewnętrzna ścian hali i tak zwany strop świetlny. Przy projektowaniu wszystkich tych elementów korzystałem ze znajomości rozwiązań w ośrodkach TV w Krakowie, Warszawie i Kopenhadze. Podobnie jak w Krakowie na ścianach hali do wysokości 4 m zastosowałem wykładzinę ze specjalnych pustaków ceramicznych. Przedsionki wejściowe wyłożyłem akustycznymi, perforowanymi płytami gipsowymi o wymiarach 60*60 cm, oferowanymi przez "Pregips" w Płaszowie. Powyżej ściany wyłożyłem, montowanymi pionowo, blaszanymi, perforowanymi panelami koloru ciemnożółtego. Odpowiednie ich wykonanie i dostawę uzgodniłem w "Metalplacie" w Tychach.

Zastosowany w hali zdjęciowej stalowy strop świetlny to cała skomplikowana konstrukcja, podwieszona do dźwigarów dachowych hali. Na stropie tym ustawionych jest około stu specjalnych wózków świetlnych, z zamocowanymi w nich pionowymi, wysuwanymi teleskopowo, aluminiowymi rurami, na których u dołu zawieszono są pojedyncze reflektory. Wózki reflektorowe można na stropie odpowiednio przetaczać i ustawiać w miejscach wyznaczonych przez reżysera światła. Dodatkowo na stropie świetlnym zamocowanych jest 24 brezentowych, harmonijkowych tubusów klimatyzacyjnych, średnicy 50 cm, które można opuszczać na wysokość dwa metry od posadzki hali i regulować w ten sposób dopływ świeżego powietrza wg wskazań reżysera. Te tubusy,

jak również teleskopy, podpatrzyłem w Kopenhadze.

Oczywiście na ścianach i górnym stropie hali, oraz pod halą, zaprojektowanych zostało kilka warstw różnych materiałów izolacji akustycznej, których efekt był potem sprawdzany przy pomocy specjalnej akustycznej aparatury pomiarowej.

W skład dokumentacji projektowej TWF, oprócz budynku głównego, wchodził jeszcze budynek techniczny i plan zagospodarowania przestrzennego wraz z infrastrukturą uzbrojenia instalacyjnego, drogami i małą architekturą.

Budynek techniczny nie był duży, miał tylko 3.800 m³ kubatury, ale nafaszerowany był urządzeniami technologicznymi. Oprócz dużej stacji energetycznej o mocy 2 GW, mieścił jeszcze centralę chłodniczą dla klimatyzacji z wieżami chłodniczymi, hydrofornię z zewnętrznym zbiornikiem wody p.poż. i składane komory do suszenia drewna. Zagospodarowanie terenu dotyczyło działki gruntowej o powierzchni 14,7 ha przy ul. Nowohuckiej. Integralną częścią zagospodarowania były: sieć wodociągowa, rozdzielcza kanalizacja opadowa i sanitarna, podłączenie gazowe, sieć centralnego ogrzewania i pary technologicznej, kablowe zasilanie energetyczne, sieć energetyczna i oświetlenia terenu, doprowadzenie kanalizacji teletechnicznej, drogi wewnętrzne oraz parkingi na 290 samochodów.

Przez całe pierwsze półrocze przekazywaliśmy inwestorowi kolejne kompleksowe projekty techniczne poszczególnych segmentów Wytwórni. Każdy z nich obejmował architekturę, konstrukcję, instalacje sanitarne, grzewcze, klimatyzacyjne i elektroenergetyczne oraz kosztorysy. Przekazaliśmy również rysunki detali i część wnętrza architektonicznych, kompleksowy projekt budynku technicznego i projekty zagospodarowania przestrzennego wraz z sieciami uzbrojenia terenu.

W zasadzie nasze biuro projektowe w pełni wywiązało się wobec inwestora z warunków umownego dostarczenia opracowań technicznych na budowę TWF w terminie do 30 czerwca 1976 roku. Po tym terminie w pracowni PW-2 wykonywaliśmy nadal już tylko projekty wnętrz kawiarni i restauracji oraz osadnika retencyjnego kanalizacji sanitarnej. W opracowaniu znajdowały się jeszcze również niektóre projekty technologiczne, wykonywane przez Biuro Warszawskie KRiTV, oraz różne dokumentacje podzlecane do specjalistycznych biur projektowych. Dotyczyło to np. projektu wózków świetlnych dla hali zdjęciowej, wielkiej stalowej bramy akustycznej o wym. 5x4 m z mechanizmami jej zawieszenia i przesuwania, centrali chłodniczej dla klimatyzacji i mechanicznej suszarni drewna. Na te specjalistyczne opracowania zawarliśmy oczywiście z inwestorem stosowne porozumienia dodatkowe do umowy podstawowej.

Generalnie można powiedzieć, że wygraliśmy w pracowni PW-2 trudną batalię o szybkie opracowanie dokumentacji projektowej na realizację dużej inwestycji - Telewizyjnej Wytwórni Filmowej, przydatnej szczególnie w Krakowie, będącym centrum kultury w kraju. Mogła ona, w niedługiej przyszłości, stanowić bardzo atrakcyjne miejsce pracy dla dziesiątków krakowskich aktorów, reżyserów, scenografów, piosenkarzy, muzyków, artystów baletowych itp.

Również obaj moi synowie w czerwcu 1976 ukończyli kolejny rok swej nauki. Maciek już pierwszą klasę licealną o profilu matematycznym w Liceum Ogólnokształcącym im. A. Witkowskiego, uzyskując po 6 bardzo dobrych i dobrych ocen na świadectwie. Natomiast Grzegorz na swym świadectwie ukończenia siódmej klasy podstawowej miał 12 ocen bardzo dobrych i dwa dobre. Z reguły ja chodziłem na szkolne wywiadówki synów, siadałem zwykle w ostatnich ławkach i nie zabierałem głosu w ogólnych dysputach. Rzadko też kiedy zatrzymywałem się dłużej, by usłyszeć od pań wychowawczyń, że nie mają one żadnych krytycznych uwag o nauce i zachowaniu się synów.

W międzyczasie wziąłem udział w 3-miesięcznym kursie w zakresie organizacji i

zarządzania dla kadry kierowniczej biur projektowych w jednostkach budownictwa ogólnego. Zorganizowany został przez Oddział Krakowski PZITB, odbywał się w świetlicy naszego nowego biurowca i obejmował 122 godzin wykładów, które prowadzone były stosunkowo na bardzo wysokim poziomie. Zakończony został pisemnymi pracami kontrolnymi, wykonywanymi przez uczestników. Moja oceniona została na dobrze.

Przy narożu budynku, w którym mieszkalem, znajdowała się stara, kryta gontami, drewniana chałupa. Rozebrana ona została dopiero w połowie lat 80-tych, by ustąpić miejsca 4-piętrowemu blokowi mieszkalnemu, jaki obok wybudowano, zabierając nieco słońca mieszkańcom naszego budynku. Tymczasem rzeczona chałupa wykorzystywana była przez zamieszkujących ją staruszków na melinę dla stałej grupy młodych ludzi. Może byli oni krewniakami, kolegami wnuków lub tp, w każdym bądź razie wieczorami, w niedziele niekiedy już od rana, dochodził stamtąd gwar podochoconych głosów, przyspiewki i głośne rozmowy, przeplatane obficie gwarowymi słówkami na "k".

Pewnego czerwcowego dnia 1976 roku, późnym już wieczorem - było ciepło, więc okno w moim narożnym pokoju było otwarte - wśród powodzi słów usłyszałem wielokrotnie powtarzane słowo "Radom". Domyśliłem się, że coś się w Radomiu wydarzyło i włączyłem radio. Wyjaśniło się, dokładniej już w następnym dniu, że w tym mieście doszło do strajków robotniczych, jako protestu przeciwko uchwaleniu przez Sejm podwyżek detalicznych cen podstawowych artykułów żywnościowych.

Podwyżki te były bardzo duże: mięso drożało o 70 %, sery i masło o 50, drób o 30, cukier nawet o 100 %. Pracujący mieli otrzymać, celem rekompensaty, odpowiednio wyższe zarobki, ale mało kto wiedział i interesował się tym. Natomiast spontaniczne strajki wybuchły w wielu miastach, największe w Radomiu, Ursusie i Łodzi. W Radomiu doszło przy tym do poważnych zaburzeń: podpalenia gmachu wojewódzkiego komitetu PZPR, splądrowania dziesiątków sklepów, starć z milicją, licznych aresztowań. Obserwowałem 25 czerwca telewizyjną transmisję obrad Sejmu, gdzie problemy te omawiano. Gdy poirytowany premier Jaroszewicz trzepnął papierami o mównicę i odwołał podwyżkę - powiedziałem do obrazu, czyli telewizora: "To wielki błąd, który zemści się za 5 lat!". Chyba były to prorocze słowa.

No właśnie. Polska szybko się rozwijała, przybywało ludności, zwłaszcza miejskiej, fabryk, szkół, rosła produkcja przemysłowa, dochody ludności. Tylko ceny podstawowych artykułów spożywczych od około 15 już lat nie zmieniały się. Cukier niezmiennie kosztował 10,50, a bochenek chleba 4 złote, mimo, że faktyczne koszty produkcji cukru i buraków wciąż rosły i coraz więcej płacono rolnikom za ziarno w skupie państwowym. Niezmiennie bilet tramwajowy kosztował 1 złoty, znaczek na list 0,50, gazeta 1 zł i tylko cena wódki, reperując budżet państwa, wciąż rosła. Kosztowała ona w 1974 r. 100 zł, zaś w 1976 aż 120 złotych za butelkę 1/2 litrową.

Ta nie licząca się z prawami ekonomiki polityka cenowa, stwarzała państwu co raz większe problemy budżetowe. Np. tani chleb stał się, z biegiem lat, jedną z podstawowych pasz dla drobiu i trzody chlewnej. W ciągu dekady lat siedemdziesiątych państwo zmuszone zostało do importu pszenicy, głównie z USA, za 8 miliardów dolarów kredytu. Mielono ją na mąkę częściowo w Czechosłowacji, bo polskie młyny nie nadążały z przemiałem, budowano coraz to dalsze piekarnie-giganty, a i tak z trudem zaspakajano rosnący wciąż popyt.

W mej skali wyglądało to tak, że po pracy na ogół nie mogłem już kupić zwykłego chleba, za to niejednokrotnie widziałem, jak stojący przede mną w kolejce, wykupywali po 8-12 bochenków. Mianowicie niedaleko na mej ulicy były końcowe przystanki kilku linii autobusowych do miejscowości i przysiółków na zachód od Krakowa. Ich mieszkańcy, pracujący w Krakowie, wracając do swych gospodarstw, wieźli zwykle wielkie toboły

chleba.

Rząd próbował w 1970 roku podnieść trochę ceny głównych artykułów żywnościowych, z wiadomym jednakże gdyńsko-gdańskimi skutkami. Wyszło na to, że "naród roboczy" nie pozwolił również na drugą próbę zwwyżki cen detalicznych żywności w 1976 roku. Możliwe to stało się dopiero w stanie wojennym 1982 roku, przy starannie przygotowanych rekompensatach płacowych, a ostatecznie po 1989 r. w ramach wolnej gry kapitalistycznej gospodarki rynkowej, już bez większych ceregieli rekompensacyjnych.

W lipcu 1976 r. znów pojechaliśmy na zagraniczną wycieczkę, korzystając, podobnie jak w roku poprzednim, z usług "Juventuru". Tym razem była to bardzo atrakcyjna, tylko jednotygodniowa, ściśle turystyczna, wycieczka autokarowa do Pragi i Budapesztu. Ja w Pradze Czeskiej już gościłem i zwiedzałem ją starannie, ale zdarzyło się to dawno, bo 14 lat wcześniej, więc byłem ciekaw, czy znów to miasto zachwyci mnie, jak ongiś. Kasia i nasi chłopcy stolicy czeskiej jeszcze nie widzieli, a wszyscy razem po raz pierwszy jechaliśmy do Budapesztu.

W centrum Pragi Wycieczka miała przewodnika, w trakcie zwiedzania miast korzystaliśmy z własnego autokaru, więc bardzo dużo zobaczyliśmy i dowiedzieliśmy się o obydwu wielkich miastach. Kwaterowaliśmy w peryferyjnych, trzeciorzędnych hotelach, a serwowane nam posiłki nie dla wszystkich były jadalne, jak choćby czeskie knedliczki. Za to sam program turystyczny, jak i dwie biesiadne kolacje - jedna z krwistym befsztykiem i śpiewami w praskiej piwiarni "U Kalicha", druga z pięprzonym gulaszem, przy cygańskiej muzyce, w zajeździe na Wzgórzach Gellerta w Budapeszcie - były fantastyczne.



W centrum Pragi

Zaś w pobliżu, na stoku wzgórza, "Złata ulicka" z miniaturowymi kamieniczkami i sklepikami, wypełnionymi drobiazgami pamiątkowymi.

W dniu na "dowolne zajęcia" rodzinnie przejechaliśmy się pierwszą, czynną już od dwóch lat, 16-kilometrową linią metra na kierunku północ-południe. Pojechaliśmy gdzieś daleko, gdzie metro wyszło z tunelu na wiadukt nad jakąś doliną, rzeczką i parkiem czy lasem. W czasie naszego pobytu budowana była intensywnie druga linia praskiego metra na kierunku wschód-zachód. W związku z tym w południowej części placu Vac-lavske Namesti były wielkie wykopy, w tym bowiem miejscu obie linie się krzyżowały. Stacje metra i tabor trakcyjny w Pradze były bardzo nowoczesne, stacje błyszczały marmurami, aluminium, szkłem i światłami.

Po trzech dniach spędzonych w pięknej Pradze, autokar zawiózł naszą grupę wycieczkową do stolicy WRL. Budapeszt skupia prawie 1/5 ludności Węgier i odgrywa podobną dominującą rolę w państwie, jak Kopenhaga w Danii. Natomiast, podobnie jak Praga, posiada bardzo malowniczą lokalizację, rozpościerając się na wzgórzach nad Dunajem, wśród bogatej zieleni. Z tym, że wzgórza te wznoszą się na prawym brzegu rzeki, gdzie znajduje się dzielnica Buda, a lewobrzeżny Peszt leży na równinie. Natomiast architektonicznie Budapeszt podobny jest do Wiednia, chyba dlatego, że śródmieścia obu miast ukształtowały się w drugiej połowie XIX wieku, w najlepszym okresie Cesarstwa Austro-Węgier.



Na Wzgórzu Zamkowym zeńw autokarem objechaliśmy szereg dzielnic Budapesztu, a zwiedziliśmy głównie: Wzgórze Zamkowe z Zamkiem Królewskim i kościołem św. Macieja, Wzgórze Gellerta, mosty śródmiejskie, mozaikową wieżę, Wspaniałą Małgorzatę, Parlament, Plac Arpada, Stadion Olimpijski, Wesołe Miasteczko, metro oraz główne ulice śródmiejskie Kossuta i Rakoczego.

Najciekawszą historycznie była niewątpliwie zabudowa wzgórza zamkowego. Zwiedziliśmy dostojny Zamek Królewski, z fragmentami z XIII w., mieszczący aktualnie zbiory Węgierskiej Galerii Narodowej. Niedaleki kościół św. Macieja zadziwił strzelistą, mozaikową wieżą. W sąsiedztwie kościół koronacyjny królów węgierskich, mury obronne z koronkowymi wieżami, a wszystko wykonane w białym kamieniu, co nadawało całości swoisty koloryt. Za murami znajdował się stromy stok wzgórza, opadający wprost przed bulwary naddunajskie, można było zejść na dół długimi serpentynami schodów. Z góry natomiast rozciągał się widok na Dunaj i nieomal cały Peszt, sięgający aż po horyzont. Podobne widoki rozciągały się ze Wzgórza Gellerta, na którego szczycie stał monumentalny Pomnik Zwycięstwa w II wojnie światowej.

Po zwiedzeniu wzgórz Budy zeszliśmy na bulwar nad Dunajem przy przyczółku oryginalnego stalowego mostu wiszącego św. Małgorzaty. Most ten jest bardzo podobny do mostu Grunwaldzkiego we Wrocławiu, tylko znacznie dłuższy i zapewne starszy. Metrem dojechaliśmy do Placu Arpada, którego dominującym akcentem jest konny pomnik księcia Arpada, założyciela państwa węgierskiego. Plac z jednej strony ograniczony jest półkolistą kolumnadą z pomnikami królów węgierskich, a po bokach dużymi klasycystycznymi budynkami muzeów. Zwiedziliśmy jedno z nich, w którym, między innymi, była kolekcja, jeśli tak można powiedzieć, mumii faraonów egipskich, jakie pierwszy raz zobaczyłem. Za kolumnadą placu był duży park, a nieco dalej Wesołe Miasteczko, pełne różnorodnych karuzel i grot skalnych z różnymi urządzeniami rozrywkowymi.



Na drugim brzegu Dunaju gmach Parlamentu

Z Wesołego Miasteczka wracaliśmy metrem. Budapeszt miał wtedy dwie linie metra. Jedno krótkie, 3,5-kilometrowe, wybudowane u schyłku XIX w., jako najstarsze w kontynentalnej Europie. Jego niewielkie stacje i ciasne wagony służyły już raczej głównie jako atrakcja turystyczna. Dla celów szybkiej komunikacji miasto miało nową 20-kilometrową linię, wybudowaną w latach 60-tych, a bardzo podobną do metra praskiego.

Na własną rękę zwiedziliśmy jeszcze wyspę św. Małgorzaty na Dunaju, położoną w samym centrum miasta, słynną z licznych kąpielisk krytych i otwartych, zasilanych ze źródeł termalnych i mineralnych wód, jakich wiele w mieście. Oraz olbrzymi koronkowy gmach Parlamentu Węgierskiego i jego okolice: duży plac z jakimś konnym pomnikiem, bulwary naddunajskie i kawiarenkę, w której raczyliśmy się kawą i pysznymi lodami.

Od 17 lipca do 1 sierpnia 1976 r. odbyły się w Montrealu kolejne Igrzyska Olimpijskie. Startująca w nich polska reprezentacja sportowa odniosła znów, podobnie jak w poprzednich olimpiadach, spory sukces, zdobywając 24 medale, w tym 7 złotych. Między innymi Irena Szewińska w biegu na 400 m zdobyła już swój trzeci złoty medal na olimpiadach. Wielką niespodzianką było złoto młodego Jacka Wszoły w skoku wzwyż. Natomiast 28 lipca wydarzyło się w Chinach tragiczne trzęsienie ziemi, które spowodowało śmierć około 750 tys. ludzi. Był to kataklizm przyrody, jaki przyniósł największe ofiary w XX wieku, a być może także w całej historii ludzkości.

Drugie trzęsienie, tym razem o skutkach politycznych, miało miejsce w Chinach 9 września, gdy zmarł przywódca państwa, faktyczny twórca Chińskiej Republiki Ludowej, Mao Zedong. Jego śmierć zakończyła tzw. "Rewolucję kulturalną", jaka od kilku lat skutecznie wyniszczała polityczne i gospodarcze struktury tego największego państwa na świecie. Ostatecznie Chiny weszły wtedy na drogę budowy rynkowej gospodarki socjalistycznej.

Pewnego sierpniowego wieczoru na melinie pod naszymi oknami było szczególnie hałaśliwie. Zaczęło się, jak zwykle, bardzo niewinnie, od gry na gitarze i przyśpiewek. W miarę upływu czasu i alkoholu, robiło się jednakże coraz głośniejsze i zmuszony byłem pozamykać okna, jak czyniłem to już wielokrotnie, by oszczędzić swoje, a zwłaszcza synów, uszy przed potokiem "gwarowych" słówek. Około godziny dziewiątej to już był tylko jeden wielki wrzask i klótnie. W pewnym momencie usłyszałem jeszcze jakiś pojedynczy okrzyk, bodaj "ORMO!" i zapadła nagle cisza. Skoczyłem do okna i zobaczyłem między drzewami kilka cieni, próbujących przeskoczyć płot i żywopłoty oraz wbiegających gęsiego przez furtkę do ogródka kilkunastu cywili. Po chwili wyprowadzili oni wszystkich wyłapanych uczestników libacji na ulicę. Zdarzenie to utkwilo mi mocno w pamięci, bo od tego czasu podokienna melina przestała funkcjonować na okres około 5 lat.

Po ośmiu latach gościliśmy w naszym mieszkaniu znajomego Kasi z pracy, któremu żyrowała pożyczkę w banku. Przyszedł on ze swym kolegą, drugim żyrantem. Rozmawialiśmy o różnych sprawach i opowiedziałem im o tej sąsiedzkiej melinie. Wtedy ten kolega kolegi żony zaczął się śmiać i wyjawiał, że to on kierował grupą ormowską, która melinę zlikwidowała. Zapytałem, co wówczas zrobili, że przez tyle lat było spokojnie. Wyjaśnił szczerze, iż bynajmniej nie zaprowadzili delikwentów na komendę MO, dostaliby oni wówczas jakieś małe mandaty, a melina funkcjonowałaby dalej. Natomiast zawieźli wszystkich nyską do kamieniołomu w Zakrzówku i tam, po kolei, każdy z nich otrzymał porcję ojcowskich pasów na gołe siedzenie. Z równoczesnym ostrzeżeniem, że jeśli zagoszczą powtórnie na melinie, to rodzona matka ich nie pozna. To faktycznie poskutkowało znakomicie.

W latach 70. wyjazdy na zorganizowane wczasy krajowe, a także zagraniczne, stały się bardzo powszechne i stanowiły właściwie normę życiową znacznej większości społeczeństwa polskiego. Głównie mieszczuchów, ale także, w co raz większym stopniu, również mieszkańców wsi.

Wyjeżdżało się zwykle na wczasy zakładowe, to znaczy organizowane przez związki zawodowe poszczególnych zakładów pracy we własnych domach wypoczynko-

wych. Duże i bogate przedsiębiorstwa najczęściej same budowały dla siebie, niekiedy bardzo okazałe, domy wypoczynkowe w renomowanych miejscowościach wypoczynkowo-turystycznych. Przodowały w tym zakresie zakłady i związki zawodowe górnicze, hutnicze i budowlane. Na przykład akurat oddane zostały do użytku dwa duże reprezentacyjne obiekty sanatoryjno-wypoczynkowe "Budowlanych" w Krynicy i Szczawnicy.

Mniejsze zakłady pracy zadawały się wynajmowaniem na wypoczynek dla swych pracowników kilku mieszkań, czy pokoi, w istniejących, najczęściej prywatnych domach. Tak na przykład czyniło moje biuro projektowe, wynajmując 6 pokoi w dużym, prywatnym domu mieszkalnym w Zakopanem. Gospodarze, starsze małżeństwo, zatrzymali dla siebie tylko 2 pokoje. Reszta została odremontowana i umeblowana, za pieniądze naszego biura, na pokoje hotelowe, w jednym urządzono wspólną kuchnię z kuchenką na gaz z butli, a w suterrenach małą świetlicę z telewizorem i stołem ping-pongowym.

Biuro zakupiło też pełne wyposażenie dla tego własnego "ośrodka", łącznie z odkurzaczem i naczyniami kuchennymi. Nadzór i opiekę nad nim, oraz rozdzielnictwo skierowań, należały oczywiście do zakładowego koła związkowego. I trzeba powiedzieć, że wykorzystywany był praktycznie przez cały rok. Ja sam jeździłem tam wielokrotnie z żoną, w latach późniejszych, gdy nasi synowie chadzali już własnymi ścieżkami.

W każdym bądź razie w latach 70. miał miejsce bardzo szybki rozwój zakładowej bazy turystyczno-wypoczynkowej. Równie intensywnie budowało nowe hotele, na ogół o bardzo wysokim standardzie, Polskie Biuro Podróży "Orbis", które przejmowało całą turystykę zagraniczną. Jeszcze bardzo dużą, ale szybko relatywnie malejącą, rolę w obsłudze krajowej turystyki i wypoczynku spełniał Fundusz Wczasów Pracowniczych. Dysponował wielką ilością domów wypoczynkowych, zwłaszcza w Karkonoszach i na Wybrzeżu środkowo-zachodnim i oferował bardzo tanio swe usługi, zwykle w nieco niższym standardzie niż ośrodki zakładowe. Istniały jeszcze inne, liczne instytucje i organizacje zajmujące się wypoczynkiem, a zwłaszcza turystyką, jak PTTK, "Turysta", "Juventur", "Almatur", "Gromada", ale miały one znacznie mniejszy zasięg i znaczenie.

Generalnie biorąc, mimo bardzo szybkiej rozbudowy bazy wypoczynkowo-turystycznej w Polsce - w latach 70. popyt w tym zakresie, jeszcze szybciej wzrastający, przewyższał podaż. Wymyślono więc nową, szybko szeroko spopularyzowaną, formę spędzania urlopów, tak zwane "wczasy pod gruszą", czyli zorganizowany pobyt urlopowy w prywatnych kwaterach na wsi. Organizatorzy, a zajmowały się tym prawie wszystkie agencje turystyczne, wynajmowali pomieszczenia w domach prywatnych, opłacali wyżywienie w miejscowych gospodach i organizowali jakiś program wycieczkowo-kulturalny dla swych klientów.

W sierpniu 1976 roku, korzystając z usług Ogólnokrajowej Spółdzielni Turystycznej "Gromada", wybraliśmy się rodzinnie właśnie na takie dwutygodniowe wczasy "pod gruszą" do Łącka. Jest to duża wieś w Beskidzie Żywieckim, 20 km na zachód od Nowego Sącza. Znana jest jako ośrodek sadownictwa, który funkcjonuje na zasadzie zblokowania niewielkich indywidualnych sadów w duże arealy, uprawiane i pielęgnowane zespołowo, przy wykorzystaniu najnowszych doświadczeń i technologii sadowniczych. Wieś ponadto znana jest też z domowej produkcji wódki śliwowicy, zgodnie z nadanymi jej przed kilkuset laty przywilejami królewskimi.

Mieliśmy przed sobą urlopową perspektywę spokojnego wylegiwania się na brzegu rzeki Dunajca z widokami zielonych wzgórz, bez zgiełku i hałasu ludzkiego. Faktycznie kilka dni przeleżeliśmy z Kasią na leżakach, opalając się, gdy chłopcy grali w kometkę. Grzesiek ponadto malował olejny obraz. Właściwie to od najmłodszych lat ujawniał on zamiłowanie i talent do rysowania. Rysował dużo i chętnie, najwyraźniej z wewnętrznej potrzeby, kolejno zmieniając kolorowe kredki na akwarelę i pastele, a od kilku miesięcy korzystał z farb olejnych. Właśnie do Łącka zabrał ze sobą mały, już zagruntowany,

blejtram płócienny i komplet moich farb olejnych, z zamiarem namalowania górskiego pejzażu. Wypatrzył odpowiednie miejsce widokowe, usadowił się na małym zydelku i w ciągu dwu dni, z przerwami, zrealizował swój plan. Nawiasem mówiąc, ten widok zakreślu Dunajca na tle zalesionych wzgórz, oczywiście oprawiony w ramki, wisi w moim mieszkaniu do dzisiaj.

Po kilku dniach takiego biernego wypoczynku ruszyliśmy jednakże na turystyczne szlaki, wiodące w pobliście Pieniny. Najpierw wszakże zwiedziliśmy Nowy i Stary Sącz, urocze, zadbane, najwidoczniej wówczas dobrze gospodarzone, miasta. Nigdy w nich wcześniej nie byłem.

Pieniny zdobywaliśmy, wraz z kilkunastoosobową grupą, z Krościenka, do którego dojechalśmy autobusem. Rok wcześniej ta właściwie duża wieś została połączona z odległą o 2 kilometry Szczawnicą w jeden organizm miejski. Marsz na Trzy Korony, najwyższy szczyt w Pienińskim Parku Narodowym, był dosyć forsowny, gdyż różnica wysokości, jaką musieliśmy pokonać, wynosiła prawie 600 m. Na szczęście tu i ówdzie szło się schodkami wykutymi w skale, przy korzystaniu ze stalowych poręczy. Trud wspinania wynagrodziła nam wspaniała panorama widokowa za szczytu na przełom Dunajca, wijącego się na dole między kopami zielonych wzgórz.

Kolejnego dnia, też z liczną grupą turystyczną, pojechalśmy autobusem do Czorsztyna, gdzie zaczyna się przełom Dunajca przez pasmo Pienin. Tam, na przystani rzecznej, załadowaliśmy się na tratwy, wiązane z pięciu długich koryt drewnianych, i góralscy flisacy powieźli nas w dół rzeki. Rok 1976 był bodaj ostatnim, w którym spływ tratw przełomem Dunajca rozpoczynał się w Czorsztynie. W następnym roku rozpoczęła się tam budowa wielkiej zapory retencyjnej i przystań dla tratw przeniesiona została do Sromowic Wyżnych.

Początkowo spływ był spokojny, gdy jednak minęliśmy ruiny zamku w Niedzicy i Sromowice Wyżne, nurt stał się bardziej bystry, a koryto Dunajca węższe. Wjechaliśmy w wąski kanion między wysokimi wzgórzami. Kilka razy flisak kazał nam zgadywać, w jaką stronę tratwa popłynie, gdy minimy leśne ściany. Faktycznie trudno było się tego domyślić. Po około 3-godzinnym spływie tratw, przycumowaliśmy do końcowej przystani w Szczawnicy.

Spływ Dunajcem

W doskonałych humorach, po pełnej wrażeń rzecznej wędrówce i opowieściach flisackich, wybraliśmy się na zwiedzanie Szczawnicy. Byłem w tym mieście w latach 50-tych, jeszcze w czasach swego kawalerstwa, i mogłem ocenić, że bardzo się ono zmieniło. Drewnianych pensjonatówszop było już niewiele, natomiast przybyło sporo nowych, nowoczesnych domów sanatoryjno-wypoczynkowych. Szczawnica, jak sama nazwa wskazuje, ma bowiem bogate złoża mineralnych wód szczawiowo-alkalicznych, które wykorzystywane są w celach leczniczych, głównie do leczenia chorób układu oddechowego.

Nie mieliśmy wszak za dużo czasu na



Kasia z Maćkiem w Szczawnicy na spacerze

zwiedzanie miasta, gdyż po obiedzie w dużej, też nowiutkiej, restauracji, wraz z naszą grupą wycieczkową poszliśmy do Wąwozu Homole. Była to również wspaniała, chociaż nieco forsowna, wycieczka. Słońce prażyło, więc chłopcy porozbiegali się do pasa. Wreszcie wyszliśmy na płaskowyż z rozległymi łąkami, usianymi białymi skałkami, pomiędzy którymi pasły się stada owiec.

Do Szczawnicy przyjechaliśmy jeszcze raz następnego dnia, już bez grupy wycieczkowej, ze specjalnym zamiarem jej zwiedzenia. Przez dłuższą chwilę wypoczywaliśmy w holu najwyższego w mieście 12-kondygnacyjnego obiektu sanatoryjno-wypoczynkowego "Budowlanych", który całkiem niedawno został oddany do użytku. Zabawiliśmy w pięknym kurorcie właściwie cały dzień, nie wracając nawet na obiad do Łącka. Był to ostatni dzień naszego pobytu w tym uroczym zakątku ziemi sądeckiej. Pod każdym względem nasze wczasy "pod gruszą" były bardzo udane, a zakończyły się ściągnięciem bułgarskimi upałami.

We wrześniu szesnastoletni Maciek rozpoczął naukę w drugiej klasie licealnej, prawie dorównywał mi wzrostem i nosił wąsy. Trzynastoletni Grześ rozpoczął naukę w ostatniej ósmej klasie szkoły podstawowej, nosił długie włosy, przerósł swą mamę wzrostem i rósł szybko dalej, a trzymał się tak prosto, jakby kij połknął. Mimo, że obaj mieli już swe własne sprawy i problemy, oraz zdanie w różnych kwestiach, to nie trzeba było wiele ich namawiać do wspólnych wycieczek i spacerów. W ogóle w sposób absolutny połknęli bakcyła podróży, co ujawnić się miało wyraźnie za 3-4 lata, gdy zaczęli swe liczne wojaże zagraniczne, oczywiście bez naszego, rodziców, towarzystwa.

Tymczasem chętnie wszędzie z nami chodzili. Ja jesienią 1976 r., po skończeniu prac przy dokumentacji projektowej na budowę Telewizyjnej Wytwórni Filmowej, miałem zdecydowanie więcej czasu dla siebie. Postanowiłem więc również pochodzić nieco po Krakowie i zobaczyć co nowego w mieście w ostatnich latach wybudowano. Z Grzesiem zwiedziliśmy całą starą Nową Hutę i jej nową dzielnicę Bieńczyce. Różniły się one między sobą przede wszystkim tym, że stara NH to jakby jeden wielki park, a w Bieńczycach drzew jest znacznie mniej i jeszcze wówczas nie wiele wyrosły. Za to o wiele więcej było tam wysokich, kilkunasto kondygnacyjnych budynków mieszkalnych.

Potem spenetrowaliśmy rejon ul. Reymonta, wzdłuż której zrealizowany został cały kwartał gmachów dydaktycznych i usługowych dla Akademii Górniczo-Hutniczej. Jeśli uwzględnić wybudowane za nim miasteczko akademickie, to powstał wzdłuż ul. Reymonta pas nowej zabudowy o długości 1.400 i szerokości 200-300 metrów. Kilkaset metrów dalej funkcjonował już oddany latem do użytku 12-kondygnacyjny hotel Holiday-Inn. Oglądnęliśmy estetyczne wnętrza restauracyjne i hotele, ja dodatkowo interesowałem się rozwiązaniem klimatyzacji w budynku. Dzięki recepcjoniście co nieco podglądałem. W każdym bądź razie przewody wentylacyjne wykonane zostały przez francuskiego inwestora w sposób nowoczesny z rur z tworzywa sztucznego, podczas gdy w TWF zaprojektowaliśmy przewody tradycyjnie z blachy ocynkowanej.

Nawet w starym Parku Jordana sporo się zmieniło. Usypana została tam wysoka górką saneczkowa dla dzieci, przy czym z drugiej jej strony wykonano widownię amfiteatralną nad sadzawką-brodzikami dla maluchów. Urządzono również miasteczko rowerowe z asfaltowymi alejkami do nauki i trenowania jazdy na rowerkach dla dzieci i młodzieży. Nasi chłopcy chętni z nich potem korzystali.

Wiele razy zaglądaliśmy, przy okazji różnych imprez, i bez specjalnych okazji, do wspaniałego krakowskiego Rynku Głównego. Zwykle spacer ten kończył się ciastkami, kawą lub lodami, w jednej z licznych kawiarenek Starówki. Nie gardziliśmy również spacerami na Kopiec Kościuszki, gdzie na dachu fortu poaustriackiego urządzona została kawiarenka z widokami na cały Kraków.

Nasza syjamka Czika miała już 10 lat i była leciwą kocią staruszką. Jednakże niezmiennie cieszyła się serdeczną opieką całej naszej rodziny, a największym uczuciem darzył ją Grzesiek. Z nim zresztą spała w nocy. Lubiła ona gryźć świeżą trawę i Grześ latem niekiedy brał ją na łączkę, gdzie "pasła" się na smyczy. Do mnie chętnie przychodziła, gdy coś pisałem, czy rysowałem, przy stole, i sadowiła mi się wygodnie na szyi i ramionach.

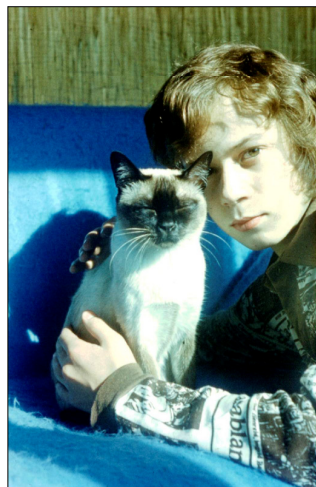
W drugim półroczu 1976 r. budowa TWF w Łęgu prowadzona była już szerokim frontem. Generalny wykonawca to jest ZBM "Budopol" zagospodarował już plac budowy przez wybudowanie prowizorycznych dróg transportowych, doprowadzenie rurociągu wodnego, budowę baraku kierownictwa budowy i tymczasowej stacji transformatorowej oraz ogrodzenie całego rozległego terenu inwestycji. Ukończony został również montaż wielkiego magazynu rekwizytów filmowych, który w okresie budowy TWF służył z powodzeniem na magazyn budowlany.

Rozpoczęta została także budowa segmentów B-1 i B-2 budynku głównego, na które najwcześniej biuro dostarczyło dokumentację realizacyjną. Od samego początku tempo robót było bardzo szybkie. Tempo to potem utrzymane zostało jeszcze przez 3 lata, do czasu ukończenia stanów surowych całości budynku głównego TWF. Załamanie cyklu inwestycyjnego nastąpiło jeszcze później, w latach 1980-81, które spowodowały opóźnienie uruchomienia Wytwórni o 10 lat, w stosunku do terminu pierwotnie planowanego. Cały czas kierownikiem budowy z ramienia generalnego wykonawcy był Ludwik Kania.

We wrześniu opracowałem w biurze dwie koncepcje projektowe. Jedna z nich dotyczyła Domu Pracy Twórczej KRiTV w Zakopanem. Mianowicie TVP zakupiła okazję, z własnych funduszy, duży dom jednorodzinny w rejonie ul. Strążyskiej. Właścicielka wyjeżdżała do USA, do swych synów, i zmuszona była sprzedać swój rodzinny dom. Prezes TVP M. Szczepański zdecydował, by przebudować go na dom wypoczynkowy dla pracowników telewizyjnych. Zlecenie na opracowanie stosownej dokumentacji projektowej trafiło do mnie osobiście. Otrzymałem tylko dwie dyrektywy. Po pierwsze, żeby w budynku wygospodarować możliwie jak najwięcej pomieszczeń hotelowych, a po drugie, że ośrodek ma mieć najwyższy standard jakościowy.

Pojechałem na wizję lokalną na kilka dni, zatrzymując się zresztą w naszym biurowym domu pracy twórczej przy ul. Za Strugiem, skąd akurat miałem niedaleko. Wykonałem rysunki inwentaryzacyjne przebudowywanego obiektu i, konsultując się potem z dyrekcją krakowskiego OTV, szybko opracowałem zleconą mi koncepcję. Z zewnątrz budynek prezentował się zupełnie dobrze i nie wymagał żadnych poważniejszych zmian. Wewnątrz doprojektowałem klatkę schodową na obszerne poddasze, wykorzystując je na kilka pomieszczeń gościnnych. W suterenie zaprojektowałem małą salkę konferencyjną-swiecicę, saunę i komórkę na piec centralnego ogrzewania, gdyż zlikwidowałem dotychczasowe piece węglowe. W parterze też pokoje gościnne i utrzymałem istniejącą kuchnię, z możliwością korzystania z niej przez wszystkich pensjonariuszy.

Przewidywałem, że większość pomieszczeń zostanie wyłożona drewnianą boazerią, pomieszczenia sanitarne flizami na całą wysokość, posadzki w korytarzach płytkami marmurowymi, a w pokojach wykładziną dywanową itp. Koncepcja została od razu zaakceptowana z jednym zaleceniem, by kuchnię powiększyć i wyposażać tak, żeby



Grześ z Cziką

mogła serwować pełne posiłki dla wszystkich pensjonariuszy, względnie uczestników różnych konferencji, czy przebywających w ośrodku gości zagranicznych. Odpowiedziałem, iż za mało jest miejsca, aby urządzić taką pełnoprofilową kuchnię typu restauracyjnego, a w każdym razie nie można spełnić warunków techniczno-sanitarnych, jakie wymaga normatyw projektowania takich kuchni. Wymagał on na przykład oddzielenia ruchu czystego (naczynia, potrawy) od ruchu brudnego (odpady) itp.

Zostałem więc zawezwany przez prezesa M. Szczepańskiego do Warszawy. Tam jego zastępca p. J. Patyk tłumaczył mi w swym gabinecie, że to jest niezbędne. Ja się uparłem i powiedziałem, że doskonale go rozumiem, ale nie mogę projektować niezgodnie z normatywem, wbrew bardzo ostrym, niestety, przepisom sanitarnym. Chyba się nieco zdenerwował. Po czym prezesi ocenili, że wystarczy im taki projekt, jaki wykonałem, a kuchnię sobie sami zaprojektują.

Faktycznie Komitet zadziałał błyskawicznie. Wydelegowano do Zakopanego pracownika Wydziału Inwestycji OTV-Kraków, energiczną D. Zapałową, dając jej odpowiednie pełnomocnictwa finansowe. Na miejscu angażowała ona ekipy budowlane i instalacyjne, cieśli, fliziarzy, dokonywała zakupów materiałowych i wyposażenia i na sezon letni następnego roku ośrodek był już czynny. Nie wiem, nie pytałem, jak rozwiązano dylemat kuchni, ale z przyjemnością oglądałem część pomieszczeń, jakie pilnujący obiektu sąsiad-portier mi udostępnił później na jesieni 1980 r.

Drugim tematem, jaki wtedy opracowałem, była koncepcja projektowa dużego ośrodka szkoleniowo-wypoczynkowego dla potrzeb KRITV w Rytrze. Znow pojechałem na wizję lokalną, wyobraziłem sobie na miejscu, jak obiekt mógłby wyglądać, i po powrocie szybko w małej skali narysowałem. Według opracowanej koncepcji ośrodek miał 250 miejsc hotelowych w dwu czterokondygnacyjnych blokach, połączonych parterową przeziąską, grupującą pomieszczenia ogólnousługowe o łącznej kubaturze 25 tys. m³. Oba skrzydła hotelowe miały być realizowane w nowoczesnej technologii monolitycznej z zastosowaniem szalowań typu "Antinard", stosowanych akurat przy budowie Hotelu Kongresowego "Forum" w Krakowie. Projekt niestety nie miał swej kontynuacji, gdyż KRITV zadowolili się ostatecznie zakupem jakiegoś mniejszego, istniejącego obiektu wypoczynkowego.

Ostatniego dnia września 1976 r. Kasia urządziła przyjęcie urodzinowe. Normalnie nie obchodziliśmy rocznic urodzinowych, a jedynie imieniny. Ale tym razem okazja była szczególna. To ja musiałem, za jednych razem, zdmuchnąć palące się świece na torcie urodzinowym. Nie miałem z tym problemów, bo świeczek było tylko pięć. Tyle, że każda z nich symbolizowała dziesięć lat życia. Chyba ciekawego i nie zmarnowanego.

W dniu 16 października 1976 r. w Krakowie miało miejsce wielkie patriotyczno-państwowe wydarzenie, którym było odsłonięcie odbudowanego Pomnika Grunwaldzkiego na placu Matejki. Głównym akcentem pomnika jest konny posąg króla Jagiełły, stojący na wysokim postumencie, otoczonym przez symboliczne postacie rycerzy. Ogólny kształt monumentu, zaprojektowanego przez znanego rzeźbiarza krakowskiego Mariana Koniecznego, wzorowany był na przedwojennym pomniku Grunwaldzkim, jaki Niemcy zburzyli już w pierwszych dniach okupacji we wrześniu 1939 r. Tym niemniej rekonstrukcja pomnika wywołała kilkuniesięczne zażarte spory i dyskusje w krakowskiej prasie, a chodziło głównie o ustawienie rzeźby konia bokiem, łbem, lub ogonem od strony Barbakanu, gdy z drugiej strony placu jest kościół św. Floriana.

Ostatecznie posąg konny Jagiełły stoi przodem do Barbakanu, przy czym jego montażowi przyglądały się tłumy Krakowian. A był on bardzo spektakularny. Mianowicie mosiężny odlew posągu wykonany został w Gliwicach i stamtąd przetransportowany przez helikopter na Błonia Krakowskie. Sam montaż odbył się również z powietrza, przy

pomocy wielkiego helikoptera Mi-4, który przy pięknej pogodzie, w samo południe 16 października, przeniósł posąg ponad Śródmieściem i zawisł na kilkanaście minut nad kamiennym postumentem, w którym został on na stałe zakotwiony.

2 listopada 1976 r. wybrany zostałem uchwałą Rady Narodowej m. Krakowa na ławnika ludowego do Sądu Wojewódzkiego w Krakowie na trzyletnią kadencję 1977-1980. Nie wiem w jakim trybie odbywała się ta nominacja, prawdopodobnie kandydaturę zgłosiło moje biuro projektowe, a przy wyborze kierowano się wiekiem, stażem pracy, posiadanymi odznaczeniami itp. W każdym bądź razie wyznaczoną mi nową, egzotyczną funkcję przyjąłem jako wyróżnienie i wziąłem udział w kilku szkoleniowych spotkaniach nowych ławników, które odbyły się w następnych dwóch miesiącach. Złożyłem odpowiednie ślubowanie, otrzymałem legitymację ławnika, po czym zostałem poinformowany, że przez pewien czas traktowany będę jako ławnik rezerwowy. Faktycznie przez ponad pół roku nie byłem wzywany na żadne rozprawy.

Lata siedemdziesiąte były bardzo korzystne dla biur projektowych. Chyba wszystkie pracowały na pełnych obrotach, niekiedy z trudem nadążając z realizacją powodzi zleceń inwestorskich na coraz to nowe inwestycje. Trwał bowiem w Polsce wielki boom inwestycyjny w ramach gierkowskiej dekady ożywienia gospodarczego. Budowało się wszędzie bardzo dużo, a jeszcze więcej przygotowywano dokumentacji projektowej.

Nakłady inwestycyjne na rozbudowę gospodarki w poszczególnych latach były bardzo wysokie i wynosiły po około 30 % całego dochodu narodowego. To też bardzo szybko wzrastała produkcja materialna, na przykład w 1976 r. wyprodukowano stali 16, cementu 18, węgla 180 milionów ton, mieszkań 250 tysięcy. W setkach tysięcy sztuk liczyła się również roczna produkcja licencyjnych samochodów Fiat-125 na Żeraniu w Warszawie i Fiat-126p w nowych fabrykach w Tychach i Bielsku-Białej.

To ożywienie gospodarcze lat 70-tych dotyczyło również naszego biura projektowego KBPBBO. Widoczne też było ono we wzroście zarobków projektanckich, także moich. Średnia zarobków w gospodarce społecznej w Polsce w 1975 roku wynosiła około 3.200 złotych. Natomiast moja płaca podstawowa wynosiła 5000 zł, zaś moje zarobki brutto, wraz z kwartalnymi premiami, oscylowały w latach 1971-76 pomiędzy 10 i 12 tys. zł. Premie przewyższały więc nieco pensje, co było możliwe dzięki mej dużej wydajności pracy i nienormowanemu czasowi pracy w systemie akordowo-rozliczeniowym, jaki w biurach projektowych wówczas obowiązywał. Zarabiałem więc ponad trzykrotnie więcej niż wynosiły średnie zarobki w kraju. Można powiedzieć, że swe obowiązki zapewnienia bytu materialnego rodzinie wykonywałem wzorowo.

Jednakże żona "przebijała" mnie pod tym względem, bowiem ja tylko produkowałem pieniądze, natomiast ona, zarabiając więcej niż 1/3 tego co ja, miała dodatkowo na swej głowie całą resztę sfery rodzinnej. Prowadziła kuchnię, czyli wykonywała zakupy żywności i przyrządzała oraz gotowała posiłki. Doszła w tym do takiej wprawy, że np. na przyjęciach "nokautowała" biesiadników. Na pewno mogłaby prowadzić jakąś ekskluzywną restaurację. Ubierała też całą rodzinę, a miała w tym względzie zawsze dobry gust i rozeznanie aktualnej mody. Więc ona i synowie "nosili się" jak modele w żurnalach, a i dla mnie kupowała wszystko od butów i skarpetek po kapelusze i krawaty. Również mieszkanie z bieżącymi zakupami mebli, sprzętów, wyposażenia, oraz utrzymanie w nim porządków i czystości, było w jej gestii. Zrozumiałe, że w takim wariacie gospodarki rodzinnej Kasia "trzymała" kasę, zresztą bez zbędnej dla niej uwagi. Niebagatelnym obciążeniem naszej wspólnej kasy były także, co najmniej dwukrotnie w ciągu roku, wyjazdy na wczasy i wycieczki, często zagraniczne. Czyniąc bilans życiowy, z perspektywy wielu, wielu lat uważam jednak, że były to najlepsze inwestycje poczynione w moim życiu.